POPIÓŁ
CZY
DIAMENT?

LIDIA CZYŻ

POPIÓŁ *CZY* DIAMENT?

Historia, która zdarzyła się naprawdę

Wydanie I, Ustroń 2022

Tytuł: *Popiół czy diament? Historia, która zdarzyła się naprawdę*

Autor: Lidia Czyż
Redakcja: Dominika Czyż-Kufel
Korekta: Wioleta Niedziela, Agnieszka Luberadzka
Skład i przygotowanie do druku: Sylwia Cupek
Projekt graficzny okładki: Sylwia Cupek

Druk i oprawa: Drukarnia Arka, Cieszyn

Copyright © Lidia Czyż, 2022
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Fragmenty Pisma oznaczone (BT) pochodzą z Biblii Tysiąclecia
(*Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, wyd. 5, Poznań 2003).
Fragmenty Pisma oznaczone (BW) pochodzą z Biblii warszawskiej
(*Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*,
Towarzystwo Biblijne w Polsce, Warszawa 1975).

Wydawca:
Szaron
Księgarnia | Wydawnictwo | Hurtownia
ul. 3 Maja 49a, 43-450 Ustroń
tel. 503 792 766
wydawnictwo@szaron.pl
zamowienia@szaron.pl
szaron.pl
Książkę można nabyć u wydawcy.

Wydanie I, Ustroń 2022
ISBN 978-83-8247-077-2

Książkę dedykuję wszystkim osobom,
które doświadczały lub doświadczają
przemocy psychicznej w rodzinie czy w pracy.

Ufajcie, nie poddawajcie się –
ostatnie słowo zawsze należy
do Najwyższego!

REKOMENDACJE

Mocna historia. Główna bohaterka była niezwykle silna i zdeterminowana – ogromnie ją podziwiam za odwagę i za to, że jak już w końcu „ruszyła z kopyta" – to porządnie! Wielki szacunek. Dodam jeszcze, że fragmenty o diamencie i o tym, jak wiele osób może stać się niesamowitym zbiorem naczyń połączonych, jak nagle fala dobrych zdarzeń i pomocnych dłoni potrafi wyciągnąć człowieka z niezłego bagna – to bardzo mnie poruszyło. W tym wszystkim stanowiło światełko w tunelu oraz potwierdzenie, że nigdy nie zostajemy sami. Gratuluję kolejnej – mocnej, przeszywającej i poruszającej chyba każdą najczulszą strunę – książki! Dziękuję za możliwość bycia (znów) o krok przed tym, zanim książka ujrzy światło dzienne.

Dominika Cieślar

Po przeżyciach, czasem podobnych, mogę powiedzieć, że autorka porusza niezwykle ważny temat. Myślę, że dla wielu osób ta historia może stać się prawdziwym błogosławieństwem. Gratuluję z całego serca tego dzieła! Wspaniałe i ważne.

Wiola

Kiedy człowiekowi wali się świat, kiedy chce znaleźć odpowiedzi na pytania: „dlaczego ja?", „dlaczego mnie?", „dlaczego spotkało

to moją rodzinę?", szuka ich wszędzie. Książki Lidii zawsze mnie interesowały, dotyczyły bowiem trudnych historii, rodzinnych dramatów i krytycznych momentów, w których takie pytania przychodzą na myśl. Jej powieści pozwalały mi spojrzeć na człowieka z nowej perspektywy, zaczerpnąć wiedzy o życiu takim, jakie jest i jakie może być, gdy idzie się z Bogiem. Czytając je, czułam, że dzięki przenikliwej obserwacji ludzkich zachowań i głębokiej empatii Lidia potrafi w swoich powieściach odmalować z niezwykłą precyzją zranione, zagubione dusze bohaterów. Kiedy przeczytałam rękopis książki *Popioł czy diament?*, historii bliźniaczo podobnej do mojego rodzinnego dramatu, do momentu kiedy i mnie dotknęła „próba" wiary, a rodzina straciła grunt pod nogami, zrozumiałam, że książki Lidii nie tylko ukazują życie – pomagają je też zmienić i zaufać Najwyższemu. Uczą, że każdą burzę można przetrwać, pokazują, jak wyrwać się ze spirali winy, dostrzec w sobie wartość i siłę, uświadamiają, że światło Boga i Jego miłość wskaże nam drogę w najczarniejszych nawet chwilach.

Renata, mama dwóch skrzywdzonych synów

(...) Czy popiół tylko zostanie i zamęt
Co idzie w przepaść z burzą.
Czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament
Wiekuistego zwycięstwa zaranie?

Wiary dziś życzę Tobie, że zostanie
Bo na tej ziemi jesteś po to właśnie
By z ognia zgliszcza
Mógł powstać dyjament
Wiekuistego zwycięstwa zaranie (...)[1].

1 Cyprian Kamil Norwid, *Po to właśnie,* z dramatu *Za kulisami*, ok. 1865–1866 r.

Powiedziałaś, że mam usiąść i zacząć pisać... Pomyślałam, że będzie mi łatwiej, kiedy wyobrażę sobie, iż po prostu opowiadam ci swoją historię. Chwilami może będziesz zdumiona, a nawet zszokowana, dlaczego na *to* pozwoliłam.

Nie jestem w stanie policzyć, ile razy sama zadawałam sobie to pytanie: „Dlaczego?". Chciałam zasłużyć na miłość? Udowodnić coś? Być przykładną żoną i matką? Wydawało mi się, że nie mam wyjścia? Czułam się winna? Uwierzyłam w to, co on mówił – że nic nie umiem i do niczego się nie nadaję...? Zapewne wszystko po trosze.

Czy mogłam zrobić coś inaczej? Tak – uciec od niego wcześniej. Dziś to wiem i chcę, by moje życie było ostrzeżeniem dla innych. Jeśli pomogę choć jednej osobie – warto było o tym opowiedzieć. Choć nie przyszło mi to łatwo...

CZĘŚĆ I

On leczy złamanych na duchu
i zawiązuje ich rany[2].

2 Psalm 147,3 [BT].

1

Aby zacząć tę opowieść, muszę cofnąć się do czasu mojego dzieciństwa, gdy kształtował się mój charakter. Bez wątpienia wpojone mi wtedy zasady miały wpływ na to, jak potoczyły się moje losy.

Urodziłam się jako najmłodsze dziecko w wielodzietnej rodzinie i – jak przypuszczam – byłam dla najbliższych „kinder niespodzianką". Mama wprawdzie temu zaprzeczała i często powtarzała, że „zaplanowała mnie, by mieć kogoś, kto będzie się nią opiekował na starość", sądzę jednak, iż mówiła tak, by mnie pocieszyć, bo fakty temu przeczyły. Do tego, że jest w ciąży, nie przyznali się bowiem z tatą nikomu – i to aż do porodu! Ukrycie odmiennego stanu wydaje się wręcz nieprawdopodobne, lecz mama na dobrą sprawę nie wychodziła z domu, a coraz większy brzuch skrywała pod zimowymi, grubszymi ubraniami i kuchennym fartuchem, który nosiła przez cały dzień. A ponieważ zalicza się do kobiet o nieco obfitszej sylwetce, w pełni jej się to udawało. Maskowała się tak skutecznie, że nawet moja siostra, Magdalena, starsza ode mnie o piętnaście lat, która pasjonowała się anatomią człowieka i marzyła, by zostać pielęgniarką, niczego się nie domyśliła.

Pewnego kwietniowego popołudnia, gdy Magda wróciła ze szkoły, zdziwiła się, że mamy nie ma w kuchni (gdzie była prawie zawsze)

ani w żadnym innym miejscu w domu. Zagadnięty o to tato rzucił krótko znad roboczego stołu w garażu, na którym coś montował:

– Mama jest w szpitalu.

– W szpitalu? Co się stało? Ma jakieś badania? – zdziwiła się Magda.

Tata, jak to on, uśmiechnął się powściągliwie pod sumiastym wąsem.

– Nie, nie – zaprzeczył dziwnie zmieszany.

– To co jej jest?! Czemu jest w szpitalu?! Miała jakąś operację? – siostra była coraz bardziej przestraszona, a powściągliwość ojca jeszcze to uczucie potęgowała.

– No... urodziła – wydukał w końcu.

– Co...?! – Magda zdębiała. – Co ty powiedziałeś?!

– Masz siostrę.

– Siostrę? Jaką... siostrę?!

– No... masz siostrę, urodziła się dzisiaj.

– Ale to znaczy... – W Magdę jakby strzelił piorun. – To znaczy, że... mama była w ciąży?!

– No... tak. – Tata się uśmiechał (Magda określiła to później bez pardonu: głupkowato).

– Jak to?! I nic nam nie powiedzieliście?! Nie, nie wierzę! Wy jesteście... – Dalszą część wypowiedzi (na szczęście) zagłuszyło trzaśnięcie drzwi do piwnicy, którymi w furii uderzyła.

Może moje narodziny przyjęłaby spokojniej, gdyby mogła się na nie wcześniej przygotować i stopniowo oswoić się z tą zaskakującą, nową sytuacją. Trzymanie tego w tajemnicy nie sprzyjało niczemu dobremu – wręcz przeciwnie. Gdy byłam starsza, Magda nieraz opowiadała mi, że gdyby w „tamtych" czasach – czyli w połowie lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku – mogła wyrażać to, co myśli (jak robią współczesne nastolatki), rodzice na długo

zapamiętaliby jej słowa. Jednak wtedy „dzieci i ryby głosu nie miały" i – chociaż moja siostra do potulnych nie należała – walnięcie drzwiami było jedynym sposobem okazania rozsadzających ją emocji. Była wściekła, gdyż rodzice, jak to dosadnie wyraziła, potraktowali ją i jej braci jak idiotów. Do tego było jej wstyd przed koleżankami, bo mama miała aż czterdzieści lat. Dziś to „aż" ujęłabym w wielki cudzysłów, lecz wtedy kobietę w tym wieku uważano za podeszłą w latach, niemalże staruszkę, której „nie wypada robić rzeczy, z których biorą się dzieci". Ciąża u czterdziestolatki zdarzała się rzadko i była raczej powodem do zażenowania niż dumy, a przede wszystkim – pożywką dla ploteczek w naszym niewielkim miasteczku, w którym nasza rodzina była powszechnie znana. Tym bardziej, że miałam jeszcze dwóch, już prawie dorosłych braci – jeden był starszy ode mnie o siedemnaście, a drugi o osiemnaście lat. Było więc o czym gadać.

Zupełnie nie pamiętam czasu, kiedy moi bracia mieszkali w domu rodzinnym. Gdy miałam pięć lat, ożenił się młodszy z nich, Karol. Jego wesele pamiętam jak przez mgłę. Tata niestety od lat nie miał z nim dobrych relacji. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy kiedykolwiek je mieli, bowiem członkowie naszej rodziny byli wierzący, a Karol, jak to określał tata, „odszedł od Boga". Rzadko chodził do kościoła i grał w zespole rockowym. Tato często go krytykował, a względem jego wybranki także nie pałał entuzjazmem – i nigdy nie zaakceptował tego małżeństwa. Później dowiedziałam się, że Karol i Mariola pobrali się, bo „musieli". Chociaż moja bratanica była niewiele młodsza ode mnie, i moglibyśmy się wspólnie bawić, w gruncie rzeczy nie miałam z nią żadnego kontaktu. Rodzinę Karola odwiedzaliśmy „od wielkiego dzwonu", a oni właściwie nigdy do nas nie przyjeżdżali.

Trochę lepiej pamiętam wesele Stefana, które odbyło się dwa lata później. Alicja, wybranka starszego z moich braci, pochodziła z szanowanej rodziny, była miła, spokojna i ułożona. Dlatego do tego małżeństwa rodzice podchodzili w zupełnie inny sposób.

Stefan z Alą bywali u nas często, a po urodzeniu się ich pierwszego dziecka, Julii, widywaliśmy się codziennie, ponieważ bratowa – by wiązać koniec z końcem – szybko wróciła do pracy, a Julką opiekowała się moja mama. Wkrótce, w niewielkim odstępie czasu, na świat przyszły kolejne dzieci, Przemek i Marcin. Moja mama miała więc ręce pełne roboty, bo – chcąc pomóc synowi i synowej – często brała dzieciaki do nas, a ja, odkąd skończyłam dwanaście lat, co roku spędzałam w domu Stefana i Ali niemal całe wakacje. (Ich córkę Julię, młodszą ode mnie o osiem lat, traktowałam właściwie jak siostrę).

Po kilku latach do trójki rodzeństwa dołączył Łukasz. Tę ostatnią ciążę Ali i Stefanowi trudno było zaakceptować, gnieździli się bowiem w małym mieszkanku, gdzie ledwie znalazło się miejsce na kolejne dziecięce łóżeczko. Na szczęście w tym czasie Ala odziedziczyła stary dom po dziadkach, który Stefan, złota rączka, wyremontował, dzięki czemu zyskali sporo przestrzeni życiowej.

* * *

Z moimi braćmi nie byłam zatem w zbyt bliskiej relacji, za to bardzo żywy kontakt – i to pod każdym względem – miałam z Magdą. Nie tylko dlatego, że była moją jedyną siostrą i żyłam z nią w jednym domu przez ponad dwadzieścia lat (prócz dwóch, gdy uczyła się w szkole pielęgniarskiej i mieszkała w internacie), lecz przede wszystkim z powodu tego, iż od początku dogadywałyśmy się... fatalnie.

Bez wątpienia moje pojawienie się na świecie naruszyło jej życiowy porządek i pozbawiło ją – oraz braci – części uwagi i troski rodziców (której i tak ciągle im brakowało), a do tego czasem musiała się mną opiekować. No i zajęłam w niewielkim, drewnianym domu miejsce, którego już i tak było niewiele. Dla nastolatki każdy z tych powodów wydawał się katastrofą. Często więc kłóciłyśmy się o to, którą z nas mama kocha bardziej, co oczywiście było bezsensowne i u mnie wynikało z infantylności, a w przypadku Magdy zapewne z jej zadziornego charakteru i chęci dokuczenia młodszej siostrze.

Ona – w przeciwieństwie do mnie – była śmiała, odważna i przebojowa. Wiedziała, czego chce, i stawiała na swoim. Nie przejmowała się tym, co rodzice pomyślą o jej sposobie ubierania się, fryzurze czy makijażu. Często wysłuchiwałam aluzji mamy lub taty na temat „strasznego uczesania" Magdy (miała śliczne kasztanowe włosy, które nosiła rozpuszczone lub je podkręcała, o zgrozo, na lokówce!), stroju, który tacie nie odpowiadał i wydawał mu się wyzywający (a był po prostu modny), albo tego, jakim grzechem jest malowanie się (co robiła naprawdę delikatnie). W naszym niewielkim miasteczku, a tym bardziej w naszej rodzinie, panowały nieco purytańskie zasady: należało nosić skromne ubrania o odpowiedniej długości (czyli za kolano, bez dekoltu i najlepiej w stonowanym kolorze), źle widziane było upiększanie się kosmetykami, a z fryzur najwyżej punktowany był warkocz lub kok (nawet długi koński ogon uważany był za nadmiernie frywolny i przystawał wyłącznie małym dziewczynkom). Magda miała te zasady w nosie, ubierała się barwnie i z fantazją. Gdy byłam nastolatką, często podbierałam jej ciuchy. Starałam się robić to potajemnie (mama też nigdy mnie nie wydała), jednak zazwyczaj coś odkładałam „nie tak" i moja niezwykle pedantyczna siostra odkrywała, iż myszkowałam w jej rzeczach. Obrywało mi się wtedy niesamowicie.

– Znowu grzebałaś w mojej szafie! Ja cię kiedyś zabiję, ty wstrętna smarkulo! Spróbuj jeszcze raz coś ruszyć, to popamiętasz! – krzyk siostry niósł się po całym naszym domu.

Obiecywałam sobie wtedy, że nigdy więcej tego nie zrobię, lecz po pewnym czasie nadarzała się jakaś ważna okazja, na przykład występ w szkole muzycznej, a ja nie miałam żadnych ubrań, w których nie wyglądałabym jak dziecko z przytułku. Dorastałam bowiem na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, gdy w sklepach, szczególnie w małym miasteczku, trudno było cokolwiek kupić. Magda w tym czasie pracowała w mieście powiatowym i nieraz udawało jej się upolować tam ładny ciuch. Prócz tego robiła piękne swetry na drutach, którymi jej koleżanki się zachwycały.

Starsza siostra przestała traktować mnie jak pałętającą się pod nogami małolatę dopiero, gdy urodziłam dziecko. Jednak w naszych rodzinnych relacjach od początku obowiązywała jedna, wręcz złota zasada: „Magda ma zawsze rację!" – i nie miało najmniejszego sensu spierać się, że jest inaczej. Na szczęście (w przeciwieństwie do taty) ustępowanie jej nigdy nie sprawiało mi trudności.

2

Chociaż byłam najmłodszym, „późnym" dzieckiem, rodzice nigdy mnie nie rozpieszczali. Traktowali mnie tak samo jak moje rodzeństwo. Stosowany przez tatę model wychowawczy można by określić słowami: „z miłością, acz bez przesady". Nigdy nie wyjeżdżaliśmy razem z rodzicami na wakacje, ponieważ latami, przez cały okres mojego dzieciństwa – budowali oni nowy dom. Pamiętam ich więc jako wiecznie zapracowanych, zmęczonych, niemających dla mnie czasu. Zazwyczaj zajmowałam się sama sobą lub bawiłam się z dziećmi z sąsiedztwa, ale nie czułam się odrzucona. Moja niezmiennie fantastyczna i ciepła mama robiła wiele, żeby pokazać, jak bardzo mnie kocha. Mimo że nie pracowała zawodowo, była nieustannie zajęta. Całe życie pomagała innym – rodzinie Stefana czy sąsiadom – ale głównie opiekowała się coraz bardziej zniedołężniałymi najbliższymi: rodzicami mojego taty, potem swoją mamą i ciocią. Wszyscy oni po kolei przeprowadzali się do naszego domu, zajmując jeden z pokoi. Mama im gotowała, prała, sprzątała, myła ich, karmiła, pod koniec ich życia zmieniała im pieluchy. Dopiero dziś uświadamiam sobie, że ustawicznie była przepracowana i wyczerpana. Robiła zbyt wiele i przypłacała to własnym zdrowiem.

Do tego dochodziła niekończąca się budowa nowego domu, usadowionego blisko drewnianego, w którym mieszkaliśmy. Tacie

znacznie ułatwiało to robotę, gdyż zaraz po powrocie z biura i zjedzeniu obiadu przebierał się w stare drelichowe ubranie i zaczynał działać. To był niestety jedyny pozytywny aspekt tej sytuacji, pozostałe były mozolną walką. Z cudem graniczył zakup materiałów, które były niedostępne, „na przydział" lub zdobywało się je po znajomości. Największą jednak trudnością był brak środków finansowych, co wymuszało wykonywanie prac budowlanych „systemem gospodarczym". Oznaczało to, że tata większość rzeczy robił sam, a w cięższych robotach pomagali mu krewni i znajomi. Wtedy mama spędzała całe dnie w kuchni, żeby tę ekipę wykarmić. Serwowała trzy posiłki dziennie, a między tym kawę i ciasto. Na szczęście lubiła to – kuchnia była jej królestwem, a zarazem miejscem, w którym się spełniała i realizowała swoje ambicje. Szczególnie cieszyła się, kiedy przychodzili moi kuzyni, którzy stale podkreślali, jak delektują się tym, co gotuje. W tym czasie – gdy jedzenie było na kartki – jej potrawy zapewne były środkiem mobilizującym ich do murarki.

Tata to człowiek, którego nigdy nie potrafiłam „rozgryźć". Wysoki, postawny, pomimo upływu lat przystojny, z burzą, kiedyś ciemnych, a teraz siwych włosów, wyprostowany jak struna. (Nawet obecnie, gdy przekroczył już osiemdziesiątkę, on nie chodzi – on energicznie i zdecydowanie kroczy). Tata był wymagający i zasadniczy, sprawiający wrażenie wręcz zimnego. Miał swoje zasady i nie było siły, która mogłaby go od nich odwieźć. W każdej dziedzinie swojego życia zachowywał niemalże wojskową dyscyplinę. Stosował ją wobec siebie, mamy i nas – dzieci. To, co wychodziło poza ramy jego zasad i przekonań, było złe, grzeszne i głośno krytykowane – począwszy od postępowania i wyglądu mojego rodzeństwa, przez sposób wychowywania przez nie dzieci, spędzania czasu wolnego czy wydawania pieniędzy.

Wiem, że jestem dla niego ważna, ale nie pamiętam, żeby w dzieciństwie kiedykolwiek mi o tym powiedział czy okazał to w jakiś czuły sposób. Podobnie traktował moje rodzeństwo . Nie było pieszczot, wygłupów czy spontanicznego wyrażania uczuć.

Nigdy też nie mieliśmy bliższych relacji z rodzeństwem taty ani mamy. Zazwyczaj było u nich coś „nie tak" i znalazł się jakiś powód, żeby nie pójść do nich na przyjęcie urodzinowe, a jeśli już się u kogoś zjawialiśmy, tato miał z góry ustaloną porę powrotu do domu. Niezależnie od tego, czy dobrze bawiliśmy się z kuzynostwem albo czy mama prowadziła z kimś ożywioną rozmowę, on odchodził od stołu i decydował, że „musimy iść". I wychodziliśmy.

W domu w zasadzie życie kręciło się wokół ojca – liczyło się to, by był ukontentowany. Nim wychodził o piątej rano na przystanek autobusowy, mama wstawała i przygotowywała mu śniadanie, a gdy wracał z pracy, na stół wjeżdżał dwudaniowy obiad. Kolację mama również podsuwała mu pod nos. Podkreślała, że tata ciężko pracuje (co było prawdą) i chociaż w ten sposób chce mu pomóc. Zresztą swoje dzieci rozpieszczała w podobny sposób. Kiedy wstawałam, czekało na mnie śniadanie, a kiedy przychodziłam ze szkoły – ciepły obiad.

Rodzice rzadko się kłócili, a raczej powinnam powiedzieć: mama rzadko kłóciła się z tatą. Kiedy coś się jej nie podobało, zazwyczaj najpierw ja dowiadywałam się o tym fakcie, a dopiero potem mama rozmawiała o tym problemie z ojcem, na co on reagował zawsze w ten sam sposób: zamykał się w swojej kanciapie i domownicy wiedzieli, że jest „zły z powodu mamy". Po jakimś czasie ona szła do niego i przepraszała go – a on jeszcze przez jakiś czas pokazywał, jak bardzo został urażony. Tak się działo za każdym razem (czyli incydentalnie), kiedy mama odważyła się powiedzieć, co myśli na temat jakiejś decyzji czy zachowania taty. On

natomiast nie miał żadnych skrupułów, żeby wyrażać głośno opinię o niej. Oglądając telewizję, często porównywał mamę do jakiejś prezenterki telewizyjnej, otwarcie mówiąc, co mu się w mamie... nie podoba. A to jest za gruba, a to fryzurę ma nie taką (trudno było mieć inną, gdy w tym czasie w naszym środowisku kobiety w średnim wieku nosiły koczek, a wizyta u fryzjera była czymś niemalże nieprzyzwoitym), a to nie dba o siebie, jak powinna. (Zarazem nie robił nic, by miała taką możliwość). Rzeczywiście mama nie była szczupła, lecz sporo jej nadprogramowych kilogramów było konsekwencją zażywanych leków. Miała za to piękną twarz z lekko zadartym, zgrabnym nosem (Magda i ja odziedziczyłyśmy takie po niej), co dodawało jej dziewczęcego uroku, zaś jej główną ozdobą były duże, ciemne oczy z firanką gęstych rzęs, i jej cudowny uśmiech. Nawet po pięćdziesiątce była śliczna! Tata jednak bez oporów komentował jej wygląd, kiedy gdzieś wychodzili. Czasami widziałam mamę zapłakaną, i zastanawiałam się, dlaczego tak jest, czemu on ją tak traktuje, skoro – tego byłam pewna – darzy ją uczuciem. Nieraz obiecywałam sobie, że nigdy nie wybiorę sobie takiego mężczyzny na męża. Ponadto przysięgałam sobie, że moje dzieci będą miały wolność wypowiedzi w domu, bez strachu przed reakcją rodzica, będę je chwalić za osiągnięcia, a przede wszystkim – często je przytulać i okazywać im miłość na różne sposoby.

Na razie właśnie tak – z czułością i uważnością – podchodziłam do dzieci mojego rodzeństwa: Stefana oraz Magdy, która dwa lata po ślubie urodziła Kaję, a pięć lat później Martynę. Ponieważ Magda z mężem mieszkali przez kilka lat z nami w nowym domu, często bawiłam się z ich córkami. Szalałyśmy tak, jak chciałam to robić z moimi rodzicami, choć pewnie nigdy bym się na to nie odważyła, bo taty bardziej się bałam, niż go kochałam.

Z całych sił starałam się sprostać jego wymaganiom, jednakże było to niemożliwe – zawsze znajdowało się jakieś „ale", coś, za co byłam krytykowana. Kiedy przyniosłam ze szkoły czwórkę, padało pytanie, czemu nie dostałam piątki, a kiedy otrzymałam piątkę, tata dziwił się „jakim cudem".

Podobnie było w szkole muzycznej, do której uczęszczałam od siódmego roku życia. Nie lubiłam, kiedy tata przychodził na moje popisy i koncerty, bo za każdym razem szukał dziury w całym. Uwielbiałam grać na pianinie, a on potrafił zepsuć mi całą radość, co i rusz robiąc jakieś uwagi. W głębi serca czułam, że bywa ze mnie dumny – uśmiechał się wtedy pod wąsem, a w jego oczach widziałam satysfakcję. To znaczyło dla mnie wiele i – prawie – mi wystarczało.

Skądinąd spojrzenie mojego ojca było nadzwyczaj skutecznym narzędziem komunikacji i wyrażania emocji. Wystarczyło, że popatrzył – momentalnie wiedziałam, czy jest usatysfakcjonowany, czy może czymś go rozgniewałam lub rozczarowałam. To działało lepiej niż słowa czy nawet kara fizyczna. Zresztą uderzył mnie tylko raz w życiu – wiem, że zasłużyłam sobie na to, bo nie słuchałam mamy, pyskowałam i po prostu przegięłam, I choć byłam jeszcze małą dziewczynką, zdawałam sobie sprawę, że ten jeden klaps kosztował tatę więcej niż mnie. Na co dzień wyraz jego oczu, poparty pomrukiem dezaprobaty, ustawiał zarówno mnie, jak i mamę „do pionu". Takie podejście powodowało, że wprawdzie nasz dom wydawał się spokojny i bezpieczny, w rzeczywistości wraz z mamą byłyśmy w nim poddawane ciągłej presji, usiłując zadowolić ojca, który wprowadzał atmosferę surowości i dystansu. Byłam więc szczęśliwsza, gdy w domu była wyłącznie mama.

Bracia uciekli spod skrzydeł rodziców tak szybko, jak tylko mogli, zaś siostra nieustannie walczyła. Ja nie potrafiłam. W relacjach

z rodzeństwem byłam w stanie się wycofać czy dać za wygraną. Zaś w kontaktach z rodzicami jakakolwiek moja próba postawienia na swoim kończyła się albo komentarzem mamy: „Pan Bóg wszystko widzi" albo karcącym wzrokiem taty – a wówczas wiedziałam jedno: jest wkurzony, dlatego lepiej, żeby moje zachowanie zmieniło się jak najszybciej. I tak się działo.

Na zajęciach z psychologii, na które uczęszczałam w czasie studiów, dowiedziałam się, że taki model wychowania, określany jako autorytarny lub autokratyczny, uważa się za konserwatywny i mający negatywne skutki. Przykład mojej rodziny to potwierdzał. Darzę tatę głębokim uczuciem i doceniam go za to, że wpajał mi swoim przykładem wiele pozytywnych cech, takich jak obowiązkowość, wytrwałość i konsekwencję w działaniu oraz umiejętność dążenia do celu i jego realizacji, jednak nad tym unosiła się, jak gęsta chmura, atmosfera ciągłej niepewności. Nigdy nie wiedziałam, w jakim nastroju zastanę ojca. Nauczyłam się więc podporządkowywać i realizować jego oczekiwania. A ponieważ ciągle coś mi nie wychodziło, moje poczucie własnej wartości i pewności siebie wynosiło – jak śpiewano w popularnej wówczas piosence – „mniej niż zero".

* * *

To było jedno oblicze taty – domowe. Jednocześnie dostrzegałam, jak wielkim szacunkiem i poważaniem darzono go w Kościele. Często zabierał mnie ze sobą na spotkania poświęcone studiowaniu Biblii. Podziwiałam jego niesłabnący zapał do takiej służby. Mama miała mu to nawet nieco za złe, bo tata, niezależnie od swojego zmęczenia czy jej chęci spędzenia z nim czasu, w prawie każde niedzielne popołudnie szedł do kościoła, a co więcej – oczekiwał, że ona do niego dołączy. Lecz jej stan zdrowia często to uniemożliwiał. Odkąd

pamiętam, cierpiała na kliniczną niedoczynność tarczycy. Mimo to pracowała na pełnych obrotach, więc niedzielne popołudnie było jej jedyną okazją do odpoczynku i nabrania sił przed kolejnym intensywnym tygodniem. Zostawała zatem w domu, a tacie towarzyszyłam ja – i robiłam to chętnie. Idea służby w Kościele, wpojona mi przez niego w dzieciństwie, stała się dla mnie tak naturalna, że nie wyobrażałam sobie bez niej życia.

3

Kiedy miałam sześć lat, podczas nabożeństwa dla dzieci postanowiłam powierzyć swoje życie Jezusowi. Nauczycielki prowadzące spotkanie nazywały to „nowym narodzeniem" lub „przyjęciem Jezusa do serca". Był to dla mnie niesamowity moment, którego nie zapomnę. Nigdy nie żałowałam swojej decyzji, nie podważałam jej sensu ani wagi, choć podjęłam ją, będąc małą dziewczynką. Pamiętam, jak „ciocia" Lusia rozmawiała ze mną i razem się modliłyśmy. W tym momencie zdecydowałam, że chcę służyć Bogu przez całe swoje życie – i zostałam temu wierna.

Już jako dwunastolatka angażowałam się w prowadzenie zajęć szkółki niedzielnej w naszym kościele. Początkowo pomagałam prowadzącym, a potem samodzielnie przeprowadzałam lekcje biblijne, czyli opowiadałam dzieciom historie o bohaterach Starego i Nowego Testamentu. Co roku brałam także udział w kursach dla nauczycieli, na których doskonaliłam swoje umiejętności pedagogiczne, co przynosiło mi wiele satysfakcji. Dzięki temu szybko odkryłam życiowe powołanie.

Siedem lat później równie aktywnie włączyłam się w spotkania młodzieży. W każdą sobotę setka młodych ludzi zbierała się w sali parafialnej, gdzie śpiewaliśmy piosenki przy akompaniamencie gitary, słuchaliśmy wykładów, dyskutowaliśmy i mnóstwo się

śmialiśmy. Niezapomnianymi wydarzeniami były wspólne sylwestry i spotkania opłatkowe. Wkrótce stałam się jedną z liderek naszej grupy i wraz z innymi organizatorami spędzaliśmy wiele czasu, planując kolejne spotkania. Wkładałam w to mnóstwo energii, a sobotnie popołudnia stanowiły dla mnie centralny, najważniejszy punkt tygodnia.

Choć pracy miałam sporo, nigdy nie uważałam, że się poświęcam. Zapewne to sposób, w jaki zostałam wychowana, sprawiał, że chciałam służyć i pomagać innym. A jeżeli coś było dla mnie ważne, angażowałam się w to bez reszty.

* * *

Tato skończył budować dom, kiedy miałam dziesięć lat. (Chociaż stwierdzenie „skończył" było oceną sporo na wyrost, gdyż prace wykończeniowe, z powodu braku funduszy, ciągnęły się jeszcze wiele lat). Dwa lata później Magda wyszła za mąż za Marka i zamieszkali w dwóch małych pokojach na poddaszu. Błyskawicznie okazało się, że doskonale rozumiem się ze szwagrem – o wiele lepiej niż z Magdą. Traktował mnie jak siostrę, której nie miał, i mogłam z nim pogadać na każdy temat. A gdy na świecie pojawiły się ich córki, w naszym domu zrobiło się gwarno i wesoło, i nawet mój tato nieco złagodniał.

Po skończeniu liceum nie porzuciłam młodzieńczych marzeń o pracy z dziećmi i postanowiłam podjąć studia pedagogiczne, jednak w trybie niestacjonarnym, by móc równocześnie pracować i nie obciążać skromnego budżetu rodziców. Znając moje plany, Marek powiedział mi o etacie w stowarzyszeniu, w którym sam był zatrudniony. Zajmował się tam pracą z młodzieżą licealną i studentami,

organizując dla nich zjazdy, konferencje, obozy i różnego rodzaju eventy. Potrzebował asystenta, który miał mu w tym pomagać. To było coś, co uwielbiałam robić, więc bez chwili wahania przyjęłam jego propozycję. Niebawem to zajęcie stało się dla mnie nie tylko źródłem zarobku, ale w głównej mierze pasją. Byłam w stanie siedzieć w stowarzyszeniu do późna, nie zauważając upływu czasu. Gdybym nie dojeżdżała do biura razem ze szwagrem, nie raz chyba bym tam nocowała – zaabsorbowana planowaniem imprez, dopinaniem całości na ostatni guzik czy pisaniem tekstów do naszego nowo powstałego biuletynu.

A do tego, jak się wkrótce okazało, w stowarzyszeniu poznałam chłopaka, Piotra, na widok którego serce szybciej mi zabiło. Wkrótce stało się jasne, że zarówno w kontaktach prywatnych, jak i zawodowych nadajemy na tych samych falach, i już po kilku tygodniach zostaliśmy parą. Co prawda nie snuliśmy jeszcze dalekosiężnych planów, nie było mowy o zaręczynach – a tym bardziej o ślubie – lecz wiele wskazywało na to, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Uważałam, że wyznawanie tych samych wartości jest najlepszym fundamentem związku, a z moim chłopakiem łączyły mnie priorytety, dążenia i cele oraz – a może głównie – wiara w Boga. Dlatego nawet w sytuacjach spornych, kiedy w czymś nie zgadzaliśmy się ze sobą, bez problemu ustępowałam. Starałam się nigdy go (podobnie jak i innych współpracowników) nie urazić – a jeśli mi to nie wychodziło, czułam się winna i dokładałam starań, by naprawić swój błąd.

W pracy mnóstwo wydarzeń organizowaliśmy razem, a w wolnym czasie chodziliśmy na spacery i dużo rozmawialiśmy. Jedyną pasją Piotrka, której nie podzielałam, były wyprawy w wysokie góry. Ponieważ sami mieszkaliśmy z dala od gór, ich widok za każdym razem wprawiał mnie w zachwyt, jednak ja lubiłam te raczej niezbyt

wysokie, podczas gdy on uwielbiał wspinaczkę wysokogórską. Tatry czy Alpy były dla niego kaszką z mlekiem. Marzył o wyprawie w Himalaje, na co zbierał fundusze.

* * *

Podjęcie stałej pracy umożliwiło mi w kolejnym roku rozpoczęcie studiów zaocznych w Warszawie, na wyśnionym kierunku – pedagogice z elementami resocjalizacji. Mimo że wyjazdy do stolicy były czasochłonne i logistycznie uciążliwe, ten trud rekompensowały mi ciekawe zajęcia oraz miłe towarzystwo koleżanek i kolegów z roku, z którymi stworzyliśmy zgraną paczkę. Nie mogłam wprost doczekać się kolejnych zjazdów.

Podczas jednego z nich, w sobotni grudniowy poranek, mieliśmy mieć wykład z pedagogiki, prowadzony przez starszą panią profesor, którą darzyliśmy dużym szacunkiem ze względu na jej imponującą wiedzę i pełne respektu podejście do studentów.

Jednak tego dnia wykładowczyni się spóźniała – jak przypuszczaliśmy, z powodu fatalnej pogody. Oczekując na jej przybycie, nie ruszaliśmy się z sali, rozmawiając półgłosem.

Gdy usłyszeliśmy, że ktoś naciska klamkę, momentalnie w pomieszczeniu zapadła kompletna cisza. W drzwiach nie stanęła jednak wykładowczyni, lecz wysoki, przystojny, ciemnowłosy mężczyzna, którego widziałam po raz pierwszy (a był to już czwarty zjazd). Wydawał się o kilka lat starszy od nas. „Jakiś asystent w zastępstwie?" Wszyscy bacznie mu się przyglądaliśmy.

Ale on nie stanął za pulpitem, tylko zaczął rozglądać się po niewielkiej sali, jakby w poszukiwaniu miejsca. Siedziałam w przedostatnim rzędzie z Bożeną, najlepszą koleżanką. Przy stoliku za

nami stało jedyne wolne krzesło. Mężczyzna zauważył je, po czym podszedł i usiadł, a reszta powróciła do swoich rozmów.

– Przepraszam, dziewczyny, jaka jest ta profesorka? – usłyszałyśmy głos dochodzący zza pleców. Przyjemny, głęboki, męski głos.

– Świetna! – Bożena odwróciła się do niego. – Wykłady są super! Szok, że pedagogika może być tak ciekawa. Choć może jestem mało obiektywna... A ty chyba jesteś tu nowy? Nie kojarzę cię.

– Tak, mam na imię Jacek.

– Bożena. – Domyśliłam się, że najwidoczniej chłopak podał jej rękę. – Witam w naszych skromnych progach. Czemu tak późno?

– Zacząłem studia już kilka lat temu, jednak z ważnych powodów osobistych musiałem je przerwać. Teraz nadszedł czas, by je skończyć. Dziekan nie robił mi problemów, kazał jedynie zaliczyć kilka przedmiotów, bo w międzyczasie program uległ zmianie. A skoro muszę nadrobić zaległości, będę się do kogoś pięknie uśmiechał z prośbą o notatki...

– No, może cię to drogo kosztować – zalotnie zachichotała Bożena.

Ponieważ profesorka nadal nie przychodziła, mężczyzna zaczął wypytywać o plan zajęć, wykładowców i przestudiowany materiał. Udawałam, że piszę coś w notesie, lecz w rzeczywistości nasłuchiwałam. Jacek wydał mi się nad wyraz uprzejmy i sympatyczny. Z każdą minutą robił na mnie coraz większe wrażenie. No i ten tembr głosu... Bez wątpienia mógłby prowadzić audycje w radiu.

– To co, mogę liczyć na twoją pomoc?

– Sonia, ty masz lepsze notatki, pożyczysz je Jackowi? – Bożena szturchnęła mnie z uśmiechem.

Podniosłam głowę znad zeszytu i odwróciłam się do chłopaka.

– Nie ma sprawy – powiedziałam głosem, który sama ledwie poznałam.

– Przepraszam, nie przywitałem się z tobą. – Mężczyzna podniósł się z krzesła, lekko nachylił nade mną i wyciągnął dłoń. – Jacek.

– Sonia. – Podałam mu rękę, czując, jak się rumienię.

– Urzekające imię... Jeśli się nie mylę, pochodzi od greckiego słowa *sophia* oznaczającego mądrość.

Powiedział to w taki sposób, że poczułam drżenie w całym ciele. Pomyślałam, że chyba powinnam wyjść z sali i się przewietrzyć, bo inaczej jeszcze chwila i... stracę dla niego głowę. Pod pretekstem sprawdzenia rozkładu zajęć na tablicy ogłoszeń nieomal wybiegłam na korytarz. „Sonia, oszalałaś! Co ty robisz?! Masz wspaniałego chłopaka, a tego faceta nigdy wcześniej nie widziałaś!" – próbowałam sama sobie przemówić do rozumu. Oddychałam głęboko, by się uspokoić. Dotychczas jedynie słyszałam o tym, że można się w kimś zakochać od pierwszego wejrzenia, i trudno było mi w to uwierzyć. A teraz... To było jak grom z jasnego nieba!

Do sali weszłam dopiero po chwili, tuż za spotkaną po drodze panią profesor, serdecznie przepraszającą nas za spóźnienie.

– Strasznie ślisko na drodze, autobus utknął na jednej z ulic. Jeszcze raz przepraszam! – mówiła, ściągając ośnieżony płaszcz i przecierając zaparowane okulary. – No, nie traćmy czasu, przejdźmy od razu do rzeczy. Dzisiaj kontynuujemy temat...

Choć starałam się skupić na treści wykładu, niewiele do mnie docierało. Moje myśli uporczywie krążyły wokół nowego, intrygującego (nie)znajomego.

Po zajęciach – już tradycyjnie – całą grupą wybieraliśmy się na obiad.

– Dołączysz do nas? – Bożena zwróciła się do Jacka, pakując książkę i zeszyt do torby.

– Jeśli mogę, to chętnie. – Barwa jego głosu spowodowała, że znów poczułam dreszcze.

Nasz ulubiony bar znajdował się kilkaset metrów od uczelni. Za zgodą obsługi połączyliśmy stoliki i usiedliśmy razem.

– Mogę zająć miejsce obok ciebie? – zapytał Jacek, odsuwając dla mnie krzesło.

– Tak... proszę – wydukałam.

Chłopak ustawił się w kolejce do kasy tuż za mną.

– O, lubisz gołąbki – zauważył Jacek, gdy składałam zamówienie. Po czym poprosił o to samo.

Zanieśliśmy nasze talerze do stolika. Podczas posiłku rozmawialiśmy praktycznie wyłącznie ze sobą, a raczej to on cały czas o coś mnie wypytywał. Ze zdziwieniem odkryliśmy, że mieszkamy zaledwie dwadzieścia kilometrów od siebie. Do tego studenci pochodzili z całej Polski, a z naszego regionu na roku nie było nikogo prócz nas. Co więcej, Kościół, w którym Jacek był liderem młodzieżowym, znajdował się w tej samej miejscowości, gdzie pracowałam. To było nieprawdopodobne!

– Jak to możliwe, że dotychczas nigdy cię nie spotkałem?! – dziwił się Jacek.

Gdy opowiadał o swoim zaangażowaniu w Kościele, robił to z taką pasją, że nie mogłam wyjść z podziwu. Imponował mi jego entuzjazm i zapał do służby. „Masz chłopaka, masz chłopaka..." – powtarzałam w myślach jak mantrę. Mimo to z każdą chwilą byłam coraz bardziej oczarowana tym mężczyzną.

Podczas kolejnego zjazdu „scenariusz" się powtórzył. Znów w czasie przerwy byliśmy tak pochłonięci rozmową, że wydawało się nam, jakbyśmy byli w tym barze sami. Czułam, jak moje serce z każdą minutą bije coraz mocniej. „Sonia, uspokój się, przecież masz chłopaka!" – tłumaczyłam sobie, lecz na niewiele się to zdało...

* * *

Dwa tygodnie później siedziałam w biurze, zaabsorbowana przygotowywaniem programu świątecznego dla naszego stowarzyszenia. Moja współpracowniczka, Kasia, słysząc dzwonek do drzwi, wyszła na korytarz. Po chwili wróciła i mrugnęła do mnie znacząco.

– Ktoś tam na ciebie czeka... To chyba „on"! – powiedziała teatralnym szeptem.

– Kto? – Oderwana od projektu, nie miałam pojęcia, o kim mówi.

– No, ten ze studiów. Faktycznie niczego sobie... Tylko co na to Piotr?

Zrobiło mi się gorąco. „Spokojnie, spokojnie..."

– Co „Piotr"? Nie martw się, tamten to jedynie kolega.

Kasia uśmiechnęła się z leciutką ironią, po czym, zdejmując kurtkę z wieszaka, rzuciła:

– To ja już lecę, pa!

Wzięłam głęboki wdech i wyszłam na korytarz. Tak, to był Jacek. Podeszłam do niego.

– Ty tutaj? – spytałam, usiłując zachować obojętny ton.

– Przyniosłem ci *Historię wychowania* – oznajmił, wręczając mi egzemplarz książki, którą omawialiśmy podczas zajęć.

– Jak miło, że pamiętałeś. Ale... jak udało ci się ją zdobyć? – zapytałam, oglądając okładkę z każdej strony, by ukryć zakłopotanie. – Przeszukałam kilka bibliotek, ale bez skutku.

– Przyznaję, nie było łatwo, ale dla ciebie wydobyłbym ją nawet spod ziemi – zapewnił, patrząc mi prosto w oczy.

– Bardzo dziękuję! – Zarumieniłam się.

– Nie ma za co. – Uśmiechnął się czarująco, a moje nogi robiły się jak z waty. – Lecz to nie jest jedyny cel mojej wizyty.

– Tak? W takim razie nie stójmy tu dłużej, wejdź do środka – wskazałam ręką na drzwi – usiądź na fotelu, a ja przyniosę coś do picia.

W małej kuchence zagotowałam wodę – co dało mi kilka minut na ochłonięcie – zaparzyłam herbatę, po czym trzęsącymi się rękami zaniosłam tacę z kubkami do mojego biura i postawiłam ją na niskim stoliku.

– Mówiłeś o jakimś innym celu… – Podałam Jackowi kubek.

– Tak. Tata zgodził się czasami pożyczać mi samochód. Jeśli byłabyś zainteresowana, chętnie zostanę twoim kierowcą i już w styczniu podwiozę cię na zajęcia – mówiąc to, znów popatrzył mi prosto w oczy, a mnie przeniknął dreszcz.

– Samochodem? – Zawahałam się chwilę, po czym powiedziałam: – Z chęcią.

Pomyślałam, że głupotą byłoby nie skorzystać z takiej propozycji – podróż autem była bez porównania wygodniejsza i szybsza niż jazda pociągiem, ale przecież nie chodziło mi wyłącznie o komfort. Cieszyłam się ze sposobności do dłuższych pogawędek – obstawiałam, że on również.

Odtąd jeździliśmy na zajęcia niemal zawsze razem, a jeśli było to niemożliwe, spędzaliśmy wspólnie przynajmniej przerwy obiadowe. Najczęściej szliśmy do „naszego" baru całą grupą, lecz Jacek robił wszystko, żebyśmy przebywali wyłącznie we dwoje. Między zajęciami „porywał" mnie – jak to określał – na spacery, na lody lub do oddalonej biblioteki uniwersyteckiej.

– Przecież szukamy tych samych książek – argumentował.

Choć nawet bez tych argumentów byłam skłonna pojechać z nim na drugi koniec Warszawy.

4

Nadszedł kwiecień, zbliżały się moje urodziny. Miałam je spędzić jedynie z rodziną, gdyż Piotr na ponad dwa miesiące wyjechał do Nepalu, by spełnić swoje największe marzenie – wspinać się po najwyższych górach świata. Bałam się o jego bezpieczeństwo, a jednak – co musiałam przyznać szczerze sama przed sobą – z każdym dniem coraz mniej za nim tęskniłam.

W tym wyjątkowym dniu współpracownicy złożyli mi życzenia, a ja poczęstowałam ich domowym sernikiem. Nadal żałowałam, że nie ma przy mnie Piotra i wieczór spędzę zwyczajnie, w domu, wkrótce jednak byłam tak pochłonięta zadaniami, że w sumie zapomniałam o świętowaniu. A ponieważ Marek tego dnia nie był w biurze, planowałam wrócić do domu autobusem.

– Miłej imprezy – zawołał na pożegnanie Jurek, który współpracował z nami przy różnych wydarzeniach.

Podziękowałam, choć plany na wieczór nie zapowiadały się oszałamiająco. „Odbijemy to sobie, gdy Piotrek wróci do Polski" – pocieszałam się, wyłączając komputer. Narzuciłam na siebie płaszcz, wyszłam przed budynek i... Nie mogłam uwierzyć własnym oczom – na parkingu, oparty o samochód, stał Jacek.

– Co ty tutaj robisz? – spytałam zdumiona. Był ostatnią osobą, której się spodziewałam tego dnia.

– Czekam na ciebie. Przecież dziś są twoje urodziny! – Uśmiechnął się rozbrajająco.

– Pamiętałeś? – Odwzajemniłam uśmiech.

– Jak mógłbym nie pamiętać?

– Przecież zaledwie raz ci o tym wspomniałam.

– Nie zapomina się takich dat!

Czułam, że moje policzki płoną.

– Z tej okazji postanowiłem cię porwać! – zakomunikował, otwierając przede mną drzwi pojazdu.

– „Porwać"?

– Tak, i – jak w prawdziwym porwaniu – niech pozostanie tajemnicą dokąd.

„To się chyba nie dzieje naprawdę" – pomyślałam oszołomiona, wsiadając do auta. Jacek zagadywał mnie całą drogę, i nawet nie zauważyłam, kiedy podjechaliśmy pod hotel „Wichrowe wzgórze", usytuowany na niewielkim wzniesieniu w pobliżu mojego rodzinnego miasta.

– Zapraszam! – Jacek wyłączył silnik i wyjął kluczyki ze stacyjki.

– Tutaj? Naprawdę tutaj? – Nie umiałam ukryć podekscytowania. Od dawna marzyłam, by wybrać się do tego miejsca, ale obawiałam się, że jest ono poza zasięgiem mojego portfela.

– Tak, mają tutaj świetną restaurację.

– Słyszałam. – „I bez wątpienia strasznie drogą", dodałam w myślach.

Choć hotel funkcjonował od niedawna, restauracja zdążyła zasłynąć ze wspaniałych potraw, zaś sam obiekt – ze szklanej windy, jakiej nie było w całej okolicy. Nie miałam okazji, aby bywać w tak ekskluzywnych przestrzeniach, więc cel „porwania" był dla mnie nie lada atrakcją. Jak się szybko okazało – nie ostatnią. Gdy wysiedliśmy z samochodu, Jacek podszedł do bagażnika i wyciągnął z niego bukiet kwiatów.

– Są piękne, dziękuję – wyszeptałam wzruszona, gdy podał mi wiązankę czerwonych róż. – To moje ulubione kwiaty.

– Wiem.

Usiłowałam sobie przypomnieć, czy kiedyś mu o tym wspomniałam, ale nie zdążyłam, bo chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą.

– A najlepsze dopiero przed nami! – śmiał się, prowadząc mnie do środka.

– To Paulina, moja koleżanka, jest managerem restauracji – przedstawił mi młodą kobietę, czekającą na nas za drzwiami, po czym zwrócił się do niej: – A to Sonia, o której ci opowiadałem.

– Witam serdecznie! Zarezerwowałam dla was stolik na piętrze, byście mieli nieco prywatności. – Paulina poprowadziła nas marmurowymi schodami.

Na widok sali rozświetlonej nastrojowymi lampkami, których blask odbijał się w kryształowych dekoracjach, po prostu oniemiałam. Obok elegancko nakrytego stolika stało białe pianino. Miałam wrażenie, że śnię.

Po wykwintnej kolacji (z nadmiaru emocji nawet nie pamiętałam, co jadłam), chcąc nieco ochłonąć, usiadłam do lśniącego instrumentu i zaczęłam grać. Melodia płynęła sama, mój umysł nie był w stanie się skupić. Uświadamiałam sobie, że jestem coraz bardziej zauroczona tym fascynującym chłopakiem, który zaprosił mnie do tego baśniowego świata.

– Doskonale grasz – komplementował mnie Jacek, a ja miękłam niczym wosk.

Wreszcie w jakimś przebłysku świadomości przypomniałam sobie, że nikt z moich bliskich nie wie, gdzie jestem.

– Chyba musimy wracać, rodzice będą się niepokoić – powie-

działam, choć w głębi duszy chciałam, by ta chwila nigdy się nie skończyła.

Gdy podjechaliśmy pod mój dom, Jacek, wysiadając z auta, zapytał:

– Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś?

– To były najpiękniejsze urodziny w moim życiu – wyszeptałam. – Ale...

– Ale co...?

Stanął naprzeciw mnie. Znajdował się blisko, niebezpiecznie blisko.

– Było cudownie, tylko... proszę, żebyś nie robił sobie większych nadziei. Mam kogoś – powiedziałam wbrew sobie. W głębi serca zdawałam sobie sprawę, iż postępuję nie *fair* w stosunku do Piotrka.

– Aha... Twój wybór – rzucił niby obojętnie, choć nietrudno było dostrzec, że jest niezadowolony.

– Nie chciałam sprawić ci przykrości – powiedziałam przepraszającym tonem. – To było naprawdę rewelacyjne „porwanie".

Byłam rozdarta. Wiedziałam, że zawiodłam Jacka, który najwidoczniej wiele sobie obiecywał po naszej znajomości – a zwłaszcza po tym nieziemskim spotkaniu – jednak dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Ledwie mój chłopak wyjechał, a ja spędziłam wieczór – i to tak niezwykły! – z innym mężczyzną.

Zdawałam sobie sprawę, że nie mogę dłużej ukrywać przed Piotrem spotkania z Jackiem. Nie miałam jednak pojęcia, jak to zrobić. Na samą myśl o tym cierpła mi skóra. Pocieszałam się, że mam jeszcze kilka tygodni do jego powrotu, więc „coś wymyślę".

* * *

Cóż... prawda sama wyszła na jaw.

Piotrek wrócił z wyprawy mocno opalony, wręcz poparzony słońcem, szczuplejszy o kilka kilogramów, ogromnie zmęczony i równie szczęśliwy. Gdy wszedł do mojego pokoju, zobaczył na stoliku wiązankę nieco już zwiędłych róż.

Postawiłam przed nim filiżankę kawy i talerzyk z ciastem.

– Spory bukiet, od kogo go dostałaś? – zapytał, siadając na fotelu.

– Od Jacka – odparłam, próbując zachować obojętny ton.

– Jacka...? – powtórzył, przeciągając samogłoski.

– Tego, z którym studiuję i czasem jeżdżę do Warszawy. Wspominałam ci o nim.

– Tak, wspominałaś, ale byłem pewien, że to tylko twój kolega.

– Bo tak jest.

– To skąd te kwiaty? – Wskazał na nie dłonią.

– Z okazji urodzin.

– Soniu – wziął głęboki oddech, jakby szukając słów – ale takiego bukietu nie daje się koleżance. Obawiam się, że z jego strony to coś „więcej".

– Raczej nie... – próbowałam oponować.

– A z twojej? Czy ty coś do niego czujesz?

Wpatrywał się we mnie uważnie. Zwiesiłam głowę i długo milczałam.

– Soniu...?

– Sama nie wiem – wykrztusiłam w końcu. Po raz pierwszy głośno przyznałam się do tego.

Piotrek nie powiedział ani słowa. Sięgnął po sweter i wyszedł, nie tknąwszy kawy ani ciasta.

Czułam się podle.

* * *

Przez kilka następnych dni w pracy mijaliśmy się z Piotrem bez słowa, co ogromnie mi ciążyło, lecz nie miałam odwagi się odezwać. Jemu chyba też było trudno, bo tydzień później, pod wieczór, niezapowiedzianie zjawił się u mnie w domu.

– Możemy pogadać? – spytał.

– Oczywiście – zaprosiłam go do środka.

Usiedliśmy w moim pokoju, oboje zakłopotani i skrępowani.

– Widzę, że masz dylemat... – zaczął Piotr, nie patrząc na mnie. – W głębi duszy wiem, że nie kochasz tego człowieka, a to, co czujesz, to jedynie zadurzenie. Jednak ja kocham cię na tyle mocno, by dać ci wolną rękę.

W tym momencie popatrzył na mnie oczami pełnymi smutku i żalu. Spuściłam głowę.

– Nie mam zamiaru naciskać i zmuszać cię, żebyśmy byli razem. Sama podejmiesz decyzję...

Odczekał chwilę, która zdawała się nie kończyć. Nie umiałam powiedzieć mu nic, prócz cichego:

– Przepraszam.

Z jednej strony jego podejście wydało mi się dojrzałe i dżentelmeńskie, lecz z drugiej – miałam nadzieję, że będzie o mnie walczył. A on tak po prostu mnie „oddał". „Zapewne tak było mu prościej i wygodniej" – myślałam z goryczą.

5

Jacka spotkałam dopiero podczas kolejnego zjazdu na uczelni. (Nie zadzwonił wcześniej, więc pojechałam na studia pociągiem). W przerwie obiadowej przysiadł się do mojego stolika.

– Mogę? – zapytał, stawiając talerz z drugim daniem naprzeciw mnie.

– Tak, proszę – przytaknęłam nieśmiało, choć w tej chwili o niczym innym nie marzyłam.

– Jak się miewasz? – zapytał z troską.

– Dziękuję, dobrze – wydukałam.

– Od naszego ostatniego spotkania wiele o tobie myślałem – powiedział powoli, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Ja też wiele myślałam...

– O mnie...?

– O tobie, o życiu, o tym, co się zdarzyło.

– A jak się miewa twój chłopak? Wrócił szczęśliwie z dalekiej wyprawy? – zapytał nieco uszczypliwie.

– Nie mam już chłopaka – odpowiedziałam cicho.

– Nie? Już nic cię nie łączy z Piotrem? – Jacek wyraźnie się ożywił.

Milczałam.

– To przeszłość – wykrztusiłam w końcu.

– Naprawdę?

Skinęłam głową bez słowa.

– W takim razie, gdy wrócimy do domu, chcę cię gdzieś zabrać, dobrze? – Jacek nie krył satysfakcji, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Dobrze – przytaknęłam, choć z lekkim wahaniem. Nadal ciążyła mi świadomość, jak bardzo skrzywdziłam Piotra.

* * *

Cztery dni później Jacek czekał na mnie przed budynkiem stowarzyszenia. Tym razem pojechaliśmy kilkadziesiąt kilometrów dalej, do „Starej chaty" – klimatycznej knajpki w górach. Usiedliśmy w przytulnej izbie i zamówiliśmy ziołową herbatę z sokiem malinowym oraz – znów zgodnie – placki ziemniaczane z blachy. Choć na dworze, mimo późnej wiosny, panował nieprzyjemny chłód, w pomieszczeniu – za sprawą ognia trzaskającego w kominku – było przyjemne ciepło.

– Mam ci tak wiele do powiedzenia...

– Zamieniam się w słuch – odparłam, upijając łyk aromatycznej herbaty.

– Wiesz, kiedy zwróciłem na ciebie uwagę? – zaczął tajemniczo. – Podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy zapytałem o rozkład zajęć, a ty od razu wyszłaś na korytarz, by go sprawdzić. Pamiętasz to?

– Tak, pamiętam.

Wiedziałam też, dlaczego tam poszłam – bo zrobił na mnie piorunujące wrażenie (ale tego nie chciałam mu wyznać). A teraz się dowiaduję, że czuliśmy się wtedy podobnie.

– Potem, gdy grałaś na tym białym pianinie, wręcz mnie oczarowałaś – mówił z rozmarzeniem w oczach.

– To były wyjątkowe urodziny – wyszeptałam, czując, jak moje tętno przyspiesza.

– Ale... mam ci do oznajmienia coś ważnego.

– Coś ważnego? – „Co on mi chce powiedzieć? Zerwałam dla niego z Piotrem, a teraz dowiem się, że.....?"

– Jako jeden z dwóch Polaków dostałem zaproszenie na konferencję liderów młodzieżowych w Teksasie. To ogromna nobilitacja!

Jacek był podekscytowany, jakby co najmniej dostał nominację do Oscarów, jednak rozumiałam tę radość. Takie zaproszenie było zaszczytem i świadczyło o tym, że kogoś szczególnie ceniono w Kościele. Zaimponował mi po raz kolejny. Odczuwałam coraz większą radość z tego, że Piotr dał mi wolny wybór. Teraz już byłam pewna, że to, co czuję do Jacka, wynika nie tylko z zauroczenia, ale że jest on odpowiedzią na moją szczególną modlitwę. Wielu osobom mogła się ona wydać dziwna, lecz ja od dawna prosiłam o to, by zostać... żoną lidera chrześcijańskiego.

Znałam kilka wspaniałych małżeństw przywódców religijnych, ewangelizatorów i pastorów z różnych denominacji. Przyglądałam się, jak mężowie wraz z żonami służą w Kościele i jakim wsparciem są dla siebie nawzajem. Jak trafnie ujęła to jedna osoba: „Łatwiej rozgrywać duchowe walki w duecie". Zgodnie z tym, co powiedział Bóg: *Niedobrze jest człowiekowi, gdy jest sam. Uczynię mu pomoc odpowiednią dla niego*[3]. Modliłam się zatem o człowieka, którego serce jest gorące z miłości do Boga i kto całym sobą angażuje się w służbę. Obiecywałam sobie, że będę go wspierać ze wszystkich sił i aż po grób stać po jego stronie. A teraz coraz wyraźniej przekonywałam się, że Jacek jest uosobieniem atrybutów osoby, o którą prosiłam. Sama zaś chciałam być dla niego „odpowiednią pomocą".

---

3 1 Księga Mojżeszowa 2,18 [BW].

– Na razie staram się o wizę do USA. Przypuszczam, że ją dostanę, bo otrzymałem oficjalne zaproszenie z tamtejszego Kościoła – chociaż nigdy nie można być tego pewnym. Jedno z kluczowych pytań, na które muszę odpowiedzieć, wypełniając wniosek, brzmi: „Czy mam w Polsce kogoś bliskiego, do kogo będę chciał wrócić?". Co prawda mogę podać imiona rodziców – lecz to niezbyt przekonujący argument dla ambasady USA, jeśli jestem dwudziestosiedmioletnim mężczyzną – więc pomyślałem o... – zwiesił na moment głos.

– O kim?

– Soniu, czy mógłbym podać we wniosku twoje imię i nazwisko?

Zupełnie zaskoczył mnie tym pytaniem (i że w ogóle o mnie pomyślał). Dopiero po chwili dotarło do mnie, co właśnie mi zakomunikował – to ja jestem osobą, do której będzie chciał wrócić.

– Zgadzasz się? – ponowił pytanie, gdy przez pewien czas milczałam.

– Tak – potwierdziłam, nadal nie dowierzając.

W tym momencie chwycił mnie za ręce, przyciągnął do siebie i posadził na kolanach. Pogładził mnie kciukiem po policzku i delikatnie pocałował w usta.

– Kocham cię – powiedział.

Choć byłam półprzytomna z emocji, zachowałam resztki rozsądku:

– Bardzo cię lubię, ale... jeszcze nie mogę wyznać ci tego samego – odparłam zgodnie z prawdą.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby to się jak najszybciej zmieniło – zapowiedział i pocałował mnie jeszcze raz. Tym razem tak, że brakło mi tchu.

Zdawałam sobie sprawę, że nie będzie musiał długo czekać na moje wyznanie miłości.

* * *

Odtąd spędzaliśmy wspólnie wiele czasu. Popołudniami Jacek często zabierał mnie na spacery malowniczymi trasami wzdłuż rzeki płynącej przez miasto, w którym pracowaliśmy. Na zajęcia do Warszawy też za każdym razem jeździliśmy razem. Oficjalnie nadal jeszcze nie byliśmy parą, lecz ja już byłam pewna, że to miłość – i to taka, która zdarza się raz na milion.

Nadszedł dzień dwudziestych ósmych urodzin Jacka. Byliśmy umówieni, że z tej okazji pojedziemy do jego ulubionej pizzerii. Gdy zbliżaliśmy się do celu, Jacek nie skręcił jednak z głównej drogi w uliczkę, przy której mieściła się „Siciliana".

– Jedziemy gdzieś indziej? – zdziwiłam się.

– Owszem.

– Mówiłeś, że to twój ulubiony lokal. Mają dziś zamknięte?

Pokręcił głową.

– Jedziemy w pewne szczególne miejsce. To niespodzianka. – Uśmiechnął się zagadkowo.

„Szczególne miejsce? Niespodzianka?"

– Rozumiem, że nic od ciebie nie wyciągnę...?

– Nie, inaczej to nie byłaby niespodzianka.

Rozglądałam się po okolicy. Wprawdzie miejscowość, w której mieszkał Jacek, była oddalona od mojego miasta zaledwie o trzydzieści kilometrów, jednak niezbyt dobrze znałam te tereny. Po kwadransie Jacek zaparkował przed piętrowym, szarym domem, otoczonym ogrodem.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił, wyłączając silnik samochodu.

– Tu jest jakaś restauracja?

– Nie, to jest mój dom.

– Twój… dom?! – Ledwie mogłam wydobyć z siebie głos. – Przywiozłeś mnie do siebie? – Nie mogłam wyjść ze zdumienia. – I pewnie zaraz mi powiesz, że twoi rodzice są w środku?

– Są. I bardzo chcą cię poznać – odrzekł ze stoickim spokojem, po czym wysiadł, obszedł samochód dookoła i otworzył mi drzwi.

Zupełnie nie byłam gotowa na to spotkanie i z każdą minutą wpadałam w coraz większą panikę. Wahałam się przez chwilę, czy w ogóle wychodzić – ale było za późno.

Serce biło mi jak oszalałe. Bałam się, że usłyszą je rodzice, którzy przywitali nas w przedpokoju. W dodatku nie byli sami, lecz w towarzystwie Sebastiana i Ali, przyjaciół solenizanta. Jacek przedstawił mnie i wprowadził do pokoju, w którym czekało wystawne przyjęcie. Potrawy na stole zmieniały się jak w kalejdoskopie, ja jednak byłam tak zestresowana, że ledwie potrafiłam cokolwiek spróbować. Było to trudne, bo mama Jacka – która wydała mi się niezwykle miłą kobietą – raz po raz podsuwała nam pełne półmiski i pytała:

– Jacusiu, jeszcze sałatki? Alusiu, może szyneczki? Soniu, może galaretki z kurczaka?

– Nie, dziękuję – wymawiałam się kolejny raz. – Nie dam rady zjeść niczego więcej.

– Dziecko, przecież ty nic nie zjadłaś! – Mama Jacka załamywała ręce.

– Wszystko jest pyszne, ale naprawdę już nie mogę… – tłumaczyłam się najuprzejmiej, jak umiałam. Ciągle nie rozumiałam tej dziwnej sytuacji, w jakiej się znalazłam. Goście zajęci byli rozmową, za to ja i ojciec Jacka mówiliśmy niewiele. On sprawiał wrażenie mało towarzyskiego, wręcz surowego i nieprzystępnego. Wydawało mi się, że cały czas mnie bacznie obserwuje i ocenia. Marzyłam, by ta impreza wreszcie się skończyła, za to solenizantowi nigdzie się nie spieszyło.

– Jacku, muszę już wracać, możemy się zbierać? – prosiłam kilka razy, jednak Ala i Sebastian przekonywali mnie, bym posiedziała jeszcze chwilę.

Dochodziła dziesiąta, gdy Jacek wreszcie zdecydował się mnie odwieźć.

Gdy wsiedliśmy do samochodu, zapytałam z wyrzutem:

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Co zrobiłem? – Jacek jakby nic nie rozumiał.

– Wziąłeś mnie z zaskoczenia, o niczym nie informując.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę.

– I zrobiłeś! – Głośno wypuściłam powietrze. – Postawiłeś mnie w tak niezręcznym położeniu... Wszyscy oprócz mnie wiedzieli, co się wydarzy. Gdybym wcześniej wiedziała o przyjęciu, mogłabym się odpowiednio przygotować, a w tej sytuacji...

– Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi – przerwał mi lekko urażonym tonem. – Poza tym to były moje urodziny i jako moja dziewczyna powinnaś się cieszyć, kiedy coś sprawia mi przyjemność.

Wiedziałam, że kompletnie nie pojmuje, o co mi chodzi, ale nazwał mnie „swoją dziewczyną", więc – pierwszy raz tego dnia pozytywnie zaskoczona – nie drążyłam dalej.

(Niestety, prawdopodobnie z powodu stresu, z jakim wiązało się to urodzinowe spotkanie z rodzicami Jacka, nigdy nie jeździłam do jego domu z radością. Miałam nadzieję, że moje nastawienie się zmieni, gdy lepiej poznam tych ludzi, ale to nigdy nie nastąpiło).

Od tamtego dnia Jacek przedstawiał mnie innym jako swoją dziewczynę, choć tak naprawdę – co uświadomiłam sobie po czasie – nigdy nie zapytał mnie, czy zgadzam się nią zostać. Nie chciałam jednak, by sądził, że jestem małostkowa i czepiam się szczegółów.

Czyż nie dał mi jasno do zrozumienia podczas naszej randki w „Starej chacie", iż zrobi wszystko, byśmy byli razem?

Zostałam więc jego dziewczyną niejako z automatu. I to po uszy zakochaną, bo też każdego dnia dawał mi dowody swojego uczucia: dzwonił, czekał po pracy, przynosił kwiaty. Zadurzałam się coraz bardziej i bardziej...

Jedno tylko mąciło nieco moją radość – ponieważ Jacek twierdził, że „byłam jego", wkrótce przyznał sobie prawo do oceniania i zmieniania mnie niemalże w każdej dziedzinie.

– Co ty ze sobą zrobiłaś?! – zapytał z niesmakiem, gdy wróciłam od fryzjerki z grzywką, i skrzywił się w grymasie. – Fatalnie wyglądasz.

Nie lubił także, gdy rozpuszczałam włosy, a kiedy zrobiłam sobie pasemka – ostatni krzyk mody – nawet nie starał się ukryć zdegustowania. Choć nie było to przyjemne, ignorowałam to, bo byłam przyzwyczajona do takich reakcji – wszak mój tata bezustannie komentował fryzury mojej siostry. Przyjęłam, że „mężczyźni już tak mają". Z trudem natomiast znosiłam przytyki Jacka odnoszące się do mojej figury. Zapewne żadna kobieta nie potrafi zignorować słów: „Chyba trochę przytyłaś" – przynajmniej ja nie umiałam. Dlatego gdy po raz pierwszy usłyszałam taką opinię, postanowiłam wziąć się za siebie. I mimo że nigdy nie miałam nadwagi, zaczęłam uważnie kontrolować, co i ile jem, bo w oczach mojego chłopaka chciałam być idealna.

On co prawda prawił mi komplementy, jednak równie często – jeśli coś mu się we mnie nie spodobało – wygłaszał kąśliwe opinie. Swoje zdanie wyrażał bez ogródek: „Ten kolor w ogóle ci nie pasuje", „Taki fason przy twojej sylwetce?", „Nie wyglądasz w tym korzystnie". Mówiąc to, robił minę, która była wymowniejsza niż słowa. Nieraz w takich momentach ze łzami w oczach miałam ochotę odwrócić

się na pięcie i odejść. Kilka razy powiedziałam wprost, że sprawia mi przykrość.

– Jacek, czy ja rzeczywiście mam taki zły gust i tak źle wyglądam? – zapytałam upokorzona.

– Nie, całkiem dobrze, ale...

– Ale co? Kiedy mówisz mi takie rzeczy, czuję, że mnie nie akceptujesz. – Zacisnęłam wargi, żeby się nie rozpłakać.

– Kochanie, ja to robię wyłącznie dla twojego dobra. – Przytulił mnie i delikatnie odgarnął mi z czoła tę nieszczęsną grzywkę. – Jesteś dziewczyną z małego miasta, a wiesz, jakie mamy plany – wybieramy się do wielkiego świata, w związku z tym muszę się tobą zaopiekować, żebyś wyglądała, jak należy. To wyłącznie z troski o ciebie, kotku.

– Czyli nie uważasz, że wyglądam jak wieśniaczka?

– Naturalnie, że nie, skarbie! – zapewnił żarliwie. Położył palec pod moją brodą i podniósł moją głowę.

– Po prostu pragnę, żeby moja dziewczyna prezentowała się jak księżniczka, a nie sierotka Marysia. Chcę się tobą chwalić przed rodziną i przyjaciółmi! – Pogładził mnie po policzku i mocno pocałował.

Moja rodzina rzadko wyjeżdżała dalej niż kilkadziesiąt kilometrów od naszego miasta, zupełnie inaczej niż krewni Jacka – siostra z mężem i dziećmi mieszkali w Anglii, a przedtem studiowali w Niemczech, o czym Jacek z dumą opowiadał. Wiązał też wielkie nadzieje ze swoim wyjazdem do Teksasu.

– Kto wie, może pozostanę tam dłużej... może na stałe? – nadmienił kilka razy.

– A co ze mną...? – pytałam zdezorientowana.

– Oczywiście ściągnę cię do siebie – deklarował.

Nie był już młokosem, który nie wie, co robić w życiu, miał jasno sprecyzowane plany i cele: chciał służyć Bogu tam, gdzie zostanie

przez Niego posłany. Zaś jego marzeniem był wyjazd za ocean, i działanie na rzecz tamtejszej Polonii. Mówił o tym tak sugestywnie, że jawił mi się niemalże jako heroiczny bohater – pionierski misjonarz, który chce zdobywać terytoria pogan dla Chrystusa. Założenie nowej wspólnoty wydawało się niełatwym, prekursorskim zadaniem (tym bardziej w obcym kraju), ale Jacek zaznaczał, że ma znajomości na całym świecie – i jego przyjaciele „bez wątpienia mu pomogą". Jednocześnie jego największą pomocą, podporą, biblijną *ezer kenegdo* mam być ja.

– W języku polskim to określenie można rozumieć jako: pomoc, towarzyszka, partnerka. Sęk w tym, że to tłumaczenie nie oddaje w pełni jego sensu i umniejsza, a wręcz degraduje rolę kobiety – powiedział z namaszczeniem godnym osoby duchownej. – Jeśli analizujemy różne fragmenty Pisma Świętego, to odkrywamy, że dwadzieścia razy słowo *ezer* użyte zostało w kontekście Boga oferującego pomoc człowiekowi, który rozpaczliwie jej potrzebuje. *Ezer* opisuje kogoś, kto wybawia, pomaga, daje ukojenie, a *kenegdo* oznacza „obok niego" lub „naprzeciwko". W ten sposób Bóg nazwał Ewę, gdy przyprowadził ją do Adama. A ja pragnę, żebyś to ty została moją *ezer kenegdo*. – Zamilkł i chwycił mnie za rękę. – Moim wsparciem i moją podporą w służbie, do której Bóg mnie posyła.

Czy jakakolwiek dziewczyna, która od lat modliła się, by zostać żoną człowieka służącego Bogu, potrafiłaby oprzeć się takiemu wyznaniu? Byłam coraz bardziej oczarowana Jackiem. Dlatego, nawet jeśli czasem jego wypowiedzi mnie raniły, to zapewnienia o miłości rekompensowały te przykrości. Zasypiałam z obrazem mojego ukochanego pod powieką i budziłam się, myśląc, co zrobić, by był za mnie dumny i zadowolony. Bo nie zawsze był...

Czasem Jacek denerwował się, kiedy robiłam coś, czego nie chciał, na co nie miał ochoty, czy kiedy go zaskakiwałam. Bywało,

że z ważnych powodów odwoływałam naszą randkę (na przykład nieoczekiwanie musiałam porozmawiać z przeżywającą kryzys dziewczyną z naszej grupy młodzieżowej). Wtedy Jacek się irytował – według mnie niewspółmiernie do sytuacji.

– Zawiodłaś mnie wczoraj – zarzucił mi.

– Mówiłam ci, dlaczego nie jestem w stanie przyjechać. Marcelinie zmarł ojciec, była zrozpaczona i musiałam z nią porozmawiać.

– Byłaś umówiona ze mną. – Jacek był nieustępliwy.

– Przepraszam cię jeszcze raz, ale...

– Mam nadzieję, że taka sytuacja więcej się nie powtórzy – napominał mnie jak niegrzeczną uczennicę, a ja poczułam się winna.

Innym razem chciałam pomóc Monice, która rozstała się z chłopakiem, a kilka tygodni później Justynie, która przeżywała w domu piekło zgotowane przez rodziców-alkoholików. To były ważkie problemy, z którymi ci młodzi ludzie sobie nie radzili, a ja pracowałam w stowarzyszeniu zajmującym się głównie nastolatkami, nie mogłam przejść obok nich obojętnie. Jacek był liderem młodzieżowym, ale nie rozumiał mojego zaangażowania.

Czemu fakt, że sporadycznie odwoływałam spotkanie, aż tak go drażnił? Natomiast kiedy on czasem zmieniał nasze wspólne plany z byle powodu lub nie chciał powiedzieć, gdzie się wybiera (bo i tak się zdarzało), a ja ośmielałam się cokolwiek powiedzieć, słyszałam, iż jestem mało wyluzowana, bez dystansu do życia albo zwyczajnie mu nie ufam. Gdy wyrażałam swoje zdanie, które nie pokrywało się z jego opinią – gdy na przykład podobał mi się jakiś film bądź spektakl, który jemu nie przypadł do gustu, lub wspominałam o obejrzeniu jakiejś opery mydlanej czy programu rozrywkowego – spoglądał na mnie z politowaniem i mówił, że jest mną rozczarowany. Najbardziej jednak denerwowało go, kiedy

odważyłam się zrobić coś bez wcześniejszej konsultacji z nim. Gdy na przykład Jacek spontanicznie postanowił się ze mną spotkać, a ja tego dnia musiałam siedzieć do wieczora – stwierdzał, że go nie szanuję i ignoruję. Kiedy wolałam iść do kina czy na spacer niż odwiedzić jego rodzinę – uznawał, że go lekceważę. W każdym przypadku wina leżała po mojej stronie. Ale za każdym razem jakoś usprawiedliwiałam jego reakcje – tłumaczyłam je przemęczeniem, stresującym tygodniem czy faktem, że mu na mnie zależy. Stale jednak zapewniał mnie o swoim uczuciu, więc wierzyłam, że – nawet jeśli robi mi jakieś wymówki – chodzi mu wyłącznie o moje dobro – wszak był starszy ode mnie o siedem lat, przez co wydawał mi się dojrzalszy i mądrzejszy.

– Podoba ci się ta sukienka? Dobrze wyglądam? – upewniałam się, gdy szliśmy do jego przyjaciół czy rodziców. – Nie będziesz się mnie wstydził?

– Jasne, że nie! Kochanie, gdybym się ciebie wstydził, nie byłbym z tobą – zapewniał mnie.

Czasem nadmieniał też, niby mimowolnie, a jednak znacząco się uśmiechając:

– Nie masz pojęcia, ile kobiet chętnie znalazłoby się na twoim miejscu.

Gdy powiedział to po raz pierwszy, uznałam to za droczenie się, którym próbuje wzbudzić moją zazdrość. Lecz gdy – śmiertelnie poważny – powtórzył to po raz trzeci czy czwarty, a potem zaczął mi opowiadać o różnych dziewczynach, które za nim szalały, wiedziałam, że nie żartuje. Było to nieco zabawne, a zarazem sprawiało, że czułam dumę z bycia „tą jedyną". Bez wątpienia przy takiej urodzie, aparycji i dojrzałym nastawieniu do życia (którego brakowało wielu chłopakom z mojego otoczenia) Jacek mógł zdobyć każdą

kobietę, a wybrał właśnie mnie – i to mną chciał się opiekować przez całe życie. Któraż dziewczyna nie czułaby się wyróżniona, słysząc takie słowa?!

Z czasem Jacek zaczął mi towarzyszyć także podczas zakupów. Ledwie napomknęłam, że nie mam co na siebie włożyć, miał czas i ochotę, żeby zawieźć mnie do sklepu i znaleźć „odpowiednie dla mnie ubrania".

– Ty to masz szczęście. Taki facet to skarb! – powtarzała Kasia. – Mój Błażej nienawidzi zakupów...

Faktycznie Jacek był ewenementem. Większość znanych mi mężczyzn nie cierpiała kupowania ubrań. Mój tata nigdy niczego sobie sam nie wybrał – robiła to za niego mama. Moja bratowa musiała siłą zaciągać Stefana do sklepu. Jedynie Marek z chęcią jeździł z Magdą na zakupy, doradzał jej, wyrażał swoje zdanie – ale nigdy jej w tej materii nie krytykował i nie kontrolował.

W naszym przypadku było inaczej. Choć nie byliśmy nawet narzeczeństwem, nie było mowy, żebym kupiła sobie coś lub pokazała się w czymś, co nie zyskało aprobaty Jacka.

– W tym chcesz iść? Serio chcesz się w tym pokazać? – pytał zniesmaczony, gdy po mnie przyjeżdżał.

Wiedziałam wtedy, że muszę wrócić do domu i zmienić strój. Gdy nie byłam w stanie tego zrobić (bo na przykład gdzieś się śpieszyliśmy), przez całe popołudnie czy wieczór Jacek był dla mnie złośliwy, i w towarzystwie wypowiadał na głos ironiczne uwagi na mój temat, czym sprawiał mi ogromną przykrość. Ale nawet wtedy to racjonalizowałam, wspominając, jak mój tato czepiał się sposobu ubierania mamy lub ostentacyjnie się na nią obrażał. Skoro takie sytuacje zdarzały się w dobrych małżeństwach, to nic dziwnego, że i w naszej relacji, gdy – jak podkreślał Jacek – „musiałam się jeszcze

wiele nauczyć". Ostatecznie, co najważniejsze, każdorazowo potrafiliśmy się pogodzić (choć długo nie dostrzegałam, że za każdym razem to ja kajałam się przed Jackiem).

– Ja tak się dla ciebie poświęcam, a ty tego nie doceniasz i jeszcze potrafisz powiedzieć, że mnie kochasz?! – wyrzucał mi Jacek.

– Ale ja naprawdę cię kocham! – zapewniałam go żarliwie.

– Ciekawe, bo twoje zachowanie całkiem temu zaprzecza!

– Przepraszam – powtarzałam skruszona.

– No dobrze, już się nie gniewam. – Jacek po chwili przyciągał mnie do siebie i czule całował na zgodę.

Z jednej strony czułam, że darzy mnie miłością i – jak powtarzał – stawałam się powoli częścią jego życia, a z drugiej – co rusz mnie upokarzał. Niemniej jednak nie widziałam poza nim świata i kiedy wszystko między nami układało się dobrze, fruwałam ze szczęścia. Robiłam zatem, co mogłam, by było dobrze.

Zresztą, jakie znaczenie miały takie incydenty wobec faktu, że Jacek jest człowiekiem wierzącym, codziennie studiuje Pismo Święte, służy Bogu i ludziom? Chciałam, żeby wiedział, że doceniam jego zaangażowanie w Kościele, dlatego pomagałam mu, jak mogłam. Jako stowarzyszenie dysponowaliśmy sprzętem powszechnie jeszcze niedostępnym (komputerami, faksem czy kserokopiarką) i dzięki mojemu wstawiennictwu Jacek niejednokrotnie mógł z niego korzystać. A ponieważ utrzymywaliśmy stały kontakt z liderami z USA, którzy regularnie nas szkolili (Polacy nadal raczkowali w tej dziedzinie) – zapoznawał się również z nowoczesnymi, aktywizującymi i pomysłowymi metodami i formami pracy z młodzieżą, o których w Polsce mało kto wtedy słyszał. Jacek miał zatem pole do popisu w coraz szerszych kręgach. Jego przełożeni byli nim coraz bardziej zachwyceni i powoli wyrastał na kościelną gwiazdę.

Żeby wypadł jak najlepiej, wspierałam go kosztem własnego czasu. Dla niego zostawałam w biurze po godzinach i – za zgodą przełożonych – projektowałam w programach graficznych ulotki, zaproszenia, plakaty i wiele innych materiałów. Ponadto pomagałam mu w pisaniu prac zaliczeniowych na studia – a ponieważ żadne z nas nie miało komputera w domu, korzystałam ze służbowego sprzętu. Koniec końców wiele rzeczy robiłam za niego, nie mogąc mu się oprzeć, gdy robił słodkie oczy, i stwierdzał:

– Zrobię zarys w punktach, a ty to rozwiniesz. Jesteś w tym świetna – przymilał się wtedy, wsuwając dłonie pod moje włosy i pieszcząc mnie delikatnie. – Sama wiesz, jak dużo mam zajęć...

Tak mnie „kupował". Nie miałam też wystarczająco odwagi, by mu odmówić, mimo że sama byłam zasypana obowiązkami: stowarzyszenie, studia, spotkania dla młodzieży, częste opiekowanie się bratankami i prace domowe, które notorycznie zaniedbywałam. Nie raz słyszałam od taty:

– Stale nie ma cię w domu! To nie hotel, pomóż mamie!

Jednak nawet sroga mina ojca, choć wywołująca we mnie poczucie winy, nie była w stanie sprawić, żebym powiedziała Jackowi „nie". Zresztą nigdy nie potrafiłam być asertywna i starałam się zadowolić wszystkich. A akceptacja i słowa uznania Jacka były dla mnie tak niezwykle ważne, że pracę magisterską, którą miałam mu zaledwie przepisać, *de facto*... napisałam za niego. Obronił się na piątkę i cały splendor spłynął naturalnie na widniejącego na okładce autora (czyli na niego). Nikt, prócz nas i Marka, nie wiedział, kto był nim naprawdę. I jak wiele godzin spędziłam na jej pisaniu.

Byłam ustawicznie zajęta i nie zauważyłam, kiedy moje przyjaźnie, marzenia czy plany zostały odstawione na boczny tor. Ważne stało się to, czego chce i potrzebuje mój partner. Ale czy nie taki

model mi wpojono? Wprawdzie małżeństwo mojej siostry wyglądało zupełnie inaczej – wraz z Markiem tworzyli partnerski związek, a Magda miała mocny charakter i nie biegła na każde zawołanie męża. Ja byłam zupełnie inna – wolałam ustąpić, usłużyć, za każdą cenę stworzyć dobrą atmosferę i zrobić, co tylko możliwe, byleby Jacek był szczęśliwy. Nawet jeśli musiałam pójść na kompromis – a tak było zwłaszcza w sferze seksualnej.

Od dzieciństwa uczono mnie, że „ten pierwszy raz" powinien mieć miejsce dopiero po ślubie. Zgadzałam się z tym i chciałam, żeby nasz kontakt fizyczny z Jackiem ograniczał się jedynie do pocałunków i przytulania (tym bardziej, iż oboje byliśmy liderami młodzieżowymi w Kościele – i o seksie przedmałżeńskim nie było mowy). Mimo to mój chłopak stale usiłował przesunąć granice.

– Kochanie, chyba za daleko się posuwamy – próbowałam powstrzymać go, kiedy rozpinał mi guziki w bluzce.

– Dziewczyno, ja mam trzydziestkę na karku i swoje potrzeby – argumentował, nie zważając na mój opór.

– Przecież mieliśmy poczekać... – usiłowałam oponować.

– Niedługo weźmiemy ślub, więc co stoi na przeszkodzie, żebyś pomogła mi w rozładowaniu stresu? – przekonywał mnie, zamykając usta pocałunkami.

– Jacek, ale dla mnie to....

– Nawet nie wiesz, jaki miałem dzisiaj trudny dzień... Zresztą to w głównej mierze twoja wina. – Muskał mnie namiętnie ustami po szyi.

– Moja „wina"? – Odsunęłam się zdziwiona.

– Gdybyś nie była taka ładna i tak mi się nie podobała, nie byłoby problemu. – Uśmiechał się, zakładając mi włosy za ucho.

– Przecież założyliśmy sobie, że seks będziemy uprawiać dopiero wtedy, gdy będę twoją żoną.

3

Kiedy miałam sześć lat, podczas nabożeństwa dla dzieci postanowiłam powierzyć swoje życie Jezusowi. Nauczycielki prowadzące spotkanie nazywały to „nowym narodzeniem" lub „przyjęciem Jezusa do serca". Był to dla mnie niesamowity moment, którego nie zapomnę. Nigdy nie żałowałam swojej decyzji, nie podważałam jej sensu ani wagi, choć podjęłam ją, będąc małą dziewczynką. Pamiętam, jak „ciocia" Lusia rozmawiała ze mną i razem się modliłyśmy. W tym momencie zdecydowałam, że chcę służyć Bogu przez całe swoje życie – i zostałam temu wierna.

Już jako dwunastolatka angażowałam się w prowadzenie zajęć szkółki niedzielnej w naszym kościele. Początkowo pomagałam prowadzącym, a potem samodzielnie przeprowadzałam lekcje biblijne, czyli opowiadałam dzieciom historie o bohaterach Starego i Nowego Testamentu. Co roku brałam także udział w kursach dla nauczycieli, na których doskonaliłam swoje umiejętności pedagogiczne, co przynosiło mi wiele satysfakcji. Dzięki temu szybko odkryłam życiowe powołanie.

Siedem lat później równie aktywnie włączyłam się w spotkania młodzieży. W każdą sobotę setka młodych ludzi zbierała się w sali parafialnej, gdzie śpiewaliśmy piosenki przy akompaniamencie gitary, słuchaliśmy wykładów, dyskutowaliśmy i mnóstwo się